STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA ulica Zielona Nr. 46.
ADMINISTRACYA Rynek, liczba 9.
EKSPEDYCYA
w Trafice (Hotel Żoria), róg Placu Maryackiego i ul. Krętej.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA
w miejscu kwartalnie . . . . . 75. c.
" z przesyłką do domu 85. "
na prowincyi kwartalnie . . . 90. "
za granicą " 1 złr. — "
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Nr. 17. Lwów, 4. Grudnia 1880. Rocznik 2.

29-ty Listopada 1880 r.

Nie tylko w granicach pomiędzy Bałtykiem a Czarnem morzem, Odrą a Dnieprem, ale śmiało rzec możemy po całej kuli ziemskiej, gdzie tylko chociaż kilku synów Polski mogło się zebrać, — jak z jednej piersi wzniósł się ku niebiosom hymn wiary, nadziei i miłości w dniu półwiekowej pamiątki:

„Jeszcze Polska nie zginęła!“

a gdy duch ten, pełen siły żywotnej tych świętych haseł, jakiemi są: wiara, nadzieja i miłość — dotąd nie zamarł, — to prędzej czy później, skończą się dni pokuty a „Miłosierdzie i łaska Boża“ znowu nad nami zajaśnieją.

Jakkolwiek w społeczeństwie narodu polskiego spotykamy się codziennie z codziennym bolem, jakkolwiek walka prawdy i sprawiedliwości wre na każdej piędzi ziemi Piastów i Jagiellonów, z duchem ciemności — to pomimo tego moralnego boju, rozgrzewa pierś polską otucha błogiem promieniem ciepła i wiary na przyszłość.

Jeżeli kiedy, to w tym dniu półwiekowego jubileuszu „Nocy listopadowej“, złożyły dzieci polskiej ziemi świadectwo łączności niespożytego ducha, w obec wszystkich narodów kuli ziemskiej.

Na hasło pobudki żołnierskiej stanęła jeszcze legia cała osiwiałych bohaterów z pod Grochowa, Dębego, Wawra, Igań, Ostrołęki i z reduty Wolskiej — do apelu!

Gdy znowu pół wieku minie a już na ziemi naszej nie będzie ani jednego świadka żywego bojów o wolność i niepodległość z lat 1830—1831, gdy przyszłe pokolenie obchodzić będzie to wielkie święto narodowe tak samo jak my dziś patrzaliśmy z czcią i uwielbieniem na ostatnich „Belwederczyków“ na ostatnich żołnierzy polskich z wiekopomnych bojów, patrzeć będzie na tych, którzy dzisiaj widzieli weteranów z 1830/1 r.

Od rana już samego dążył każdy, kto tylko poczuwał się do solidarności narodowej bez różnicy na stan, płeć i wiek, do kościoła OO. Dominikanów, gdzie podczas bezkrwawej ofiary kapłańskiej, miały się wznosić modły do Pana światów, Boga Ojców naszych. Młodzież przy odznakach kokard narodowych na piersiach, pełniła obowiązki hufcu narodowego i straży porządku. Świątynia pańska zaczęła się nader szybko napełniać nietylko na dole, ale zajęte zostały dwupiętrowe galerye i loże.

Każde serce umiejące chociaż odrobinę odczuć wszystko co szlachetne, wzniosłe i święte dla Polaka, opanowało rzewne wzruszenie na widok wchodzących w progi świątyni „Weteranów“ wojsk polskich. Każda postać przedstawiała się jakby opromieniona aureolą widomą, która promieniami jasnemi wytryskiwała z ich oczów.

Patrzcie o młodzi! — Cóż to za rycerska postać tego starca okrytego siwizną! Siedem krzyżyków dźwiga na swych barkach a każda karta żywota, to nieustające burze i walka z wrogiemi żywiołami a pomimo tego starzec ten tchnie jakby niespożytą siłą i dziś jak przed półwiekiem, gotów ująć za karabin lub lancę i z taką samą precyzyą, z taką samą pewnością, z takim samym zapałem, gotowy pójść w bój śmiertelny. Czamara zastępuje mu dziś mundur, a pierś zdobi „krzyż zasługi“, który zdobył własną krwią w śmiertelnym boju z wrogiem!

Cóż to jest? — co za przyczyna spotęgowanych uczuć radości i uwielbienia? — dla czego ten nagły ruch w świątyni i wszystkie oczy zwracają się w jeden punkt? Jakby iskrą elektryczną przejęte masy wiernych widocznie chciałyby się rzucić i przycisnąć do gorącego serca tego niby widma a przecież na jawie — ostatniego żołnierza kość z kości — w mundurze polskim, w najmniejszych szczegółach, przy szabli, a ostrogach nawet. To ostatni przedstawiciel tej serdecznej Rusi, syn Ukrainy, który po półwiekowym urlopie żołnierskim staje do „apelu“ przyodzian i zbrojno. A postać ta jakby zrodzona na żołnierza polskiego. Oka trudno nasycić i oderwać od tego czarownego obrazu. To dzielny porucznik z Jazdy Wołyńskiej—Ezechiel Berzewiczy—mundur i zbroję przechował jakby relikwię wśród walk żywota, które gdy go Bóg powoła do siebie, staną mu za śmiertelną koszulę.

Lecz i z pod jego marsowego oka rzęsy — nie trudno dziś dopatrzeć łzy, która jak brylant wykrada się z głębi duszy i myśli przepełnionych wspomnieniami przeszłości. Spogląda z tęsknotą na około siebie i zaledwo jednego znajduje towarzysza, który dziś z nim stanął do „apelu“. A reszta? śpi pod mogiłami na placach bojów — albo legła rozproszona po katorgach, po Sybirze

Spis żyjących weteranów z roku 1831.

Przyczynek do pamiątkowego 50-letniego Jubileuszu zebrał
J. N. z Olszowa Gniewosz.
(Ciąg dalszy).

Tomasz Korczyc Leszczyński. — Urodził się w 1809 r. w Opinogórze, województwie Płockiem — z Katarzyny z Dąbrowskich i Józefa, małżonków Leszczyńskich. Ojciec Tomasza był majorem wojsk polskich, służył w legionach, w pułku szwoleżerów generała Krasińskiego. Tomasz uczęszczał do szkół wojewódzkich w Płocku. W r. 1829 jako kadet wstąpił do pułku 3go piechoty liniowej, 2giej dywizyi. W r. 1831 w randze podporucznika odkomenderowany został do pułku 11. strzelców pieszych w Rawie formowanego, pod dowództwem Dunina. Pułk ten należał do korpusu generała Samuela Różyckiego. Z pułkiem tym odbył wszystkie bitwy i utarczki a mianowicie: pod Janowcem, Chmielnikiem, Pinczowem. W tymże korpusie awansowany na porucznika pozostawał do końca. Po przejściu korpusu do Galicyi, w Zamku Zatorze otrzymał uwolnienie od służby wojskowej w charakterze kapitana, jak to świadczy dokument przez generała Różyckiego wydany.

Nie chcąc korzystać z amnestyi, wstąpił w Krakowie w szeregi milicyi, pod dowództwem pułkownika Soczyńskiego, w której jako podoficer służył aż do rozwiązania tejże w r. 1836 jak świadczy dymisya.

Za „obcokrajowość“ został uwięziony i przesiedział rok i 5 miesięcy. Dopiero za usilnem wstawieniem się Florjana Straszewskiego i Kochanowskiego pułkownika, został uwolniony, „do dalszego rozporządzenia“ — poczem ci sami obywatele wyjednali Leszczyńskiemu urzędowanie prowizoryczne przy sądownictwie w Krakowie. Przy organizacyi został jednak wykluczony.

W r. 1846 jako powstaniec dowodził batalionem kosynierów pod Gdowem i Podgórzem. — Gdy od 3ch mocarstw wojsko do Krakowa wkroczyło, został uwięziony, a komisya „rozpoznawcza“ mianowicie: Szwejkowski pułkownik żandarmów moskiewskich, członek komisyi, tak się Leszczyńskiemu przysłużył, że go oddano pod klucz osławionego „Moroka“, Zajączkowskiego. Przesiedział dwa lata i dni 14 w najohydniejszej kaźni, gdzie się nad nim znęcano i dopiero w r. 1848 podczas ogólnej amnestyi został uwolniony.

W r. 1848 był instruktorem Gwardyi Narodowej, najprzód w Krakowie, a później w Radymnie — o czem dokument przez dowódzcę generalnego Wybranowskiego świadczy.

W r. 1859/60 w skutek amnestyi danej przez cara Aleksandra, wrócił wraz z żoną do Królestwa polskiego, i natychmiast został w Warszawie uwięziony a po wywodzie słownym przesiedział rok w Cytadeli warszawskiej.— Dopiero za pośrednictwem generałowej Prądzyńskiej, która wyjednała wpływ ambasady c. k. austryackiej, odstawiony został do Krakowa — gdzie znowu za wyjście z Krakowa bez paszportu, był więziony trzy miesiące.

W r. 1863 brał czynny udział w powstaniu i gdy powracał po rozbiciu oddziału został przez władze austryackie aresztowany i więziony na zamku w Krakowie przez miesięcy ośm. Rany otrzymał w r. 1831 i 1846.

Obecnie zamieszkuje jako wdowiec we Lwowie, ma kilkoro dzieci, a jedyny jego dochód stanowi kilka złotych reńskich miesięcznie za udzielanie lekcyi do szkół niższych.

W skutek długiej choroby i odniesionych blizn, nie tylko, że został fizycznie osłabiony, ale wskutek nagłego osłabienia wzroku nie jest w możności udzielania lekcyi.

Starzec ten dobrze zasłużony Ojczyźnie znajduje się obecnie w ostatecznej nędzy — walczy z zimnem i głodem.

lub nieznana i zapomniana po całej kuli ziemskiej.

Pierś dzielnego porucznika wydyma się przejęta bolem a myśl nuci może Mohortową pieśń:

„Czas do domu czas!“

We wrota przybytku pańskiego wchodzi zgrzybiały starzec — ujrzał on światło dzienne razem z wiekiem, w którym żyjemy; siwiutki jak gołąbek. Nogi go już nie chcą słuchać, a więc go podtrzymują młodzi spadkobiercy „testamentu narodowego“ Oko dotąd przymglone, dopatruje jednak licznego grona serdecznych druhów, i nieznana siła wlewa w nie blask;— źrenica ożywiła się i promienieje na świadectwo uczuć, które gasną dopiero — w zimnym grobie.

Wchodzi znowu starzec: — także w mundurze, ale — dziadka kościelnego. Na białym płaszczu odbija czerwony krzyż, znamię męki Chrystusa, do którego w służbę dozgonną, wstąpił stary wiarus.

Oddawszy z pokorą pokłon w Swiątyni Bogu, na widok dawnych towarzyszy bojów prostuje się; — twarz zorana zmarszczkami uśmiechnięta z niewymownej radości, — a stary ułan z korpusu Dwernickiego, zasiada obok nich chociaż tak różny szatą i stanowiskiem społecznem, jak równy obok równego, brat obok braci.

Otóż znowu zjawia się dziwnie marsowa polska postać, a kto zapamięta dawniejsze czasy, to zaraz pozna, że pod tym szarym, wytartym o wojskowym kroju płaszczem i po formie pod szyją zapiętym, bije serce „Krakusa“ — z pułku Paszyca. Widać, jak na dłoni, że żywot p. porucznika nie różami przeplatany — ale maluje się w całej jego postaci i fizyognomii ta odrębna godność szlachetna, która pod jaką bądź suknią — nawet pod siermięgą, daje poznać starego wiarusa.

Przypatrzmy się temu w kapocie jeszcze mniej, jak średniego wzrostu; ręka spracowana pomimo siódmego krzyżyka, brew krzaczasta, twarz niepieszczona także pożółkła, opalona od słońca, ale włos nie siwy jeszcze tylko srebrem cokolwiek przebija. Oko bystre i widzisz z niego, że jeszcze dziś, gdy weźmie na cel — nie spudłuje — To wolny strzelec z pułku Kuszla — ptasznik — jak go moskiewscy sołdaty przezwali.

Tak się przed oczami przesuwały postacie, a co jedna to sympatyczniejsza.

Przy największej fizycznej niemocy, weterana jeszcze można było poznać bez pytania, że to także jeden z tych co w Olszynie Grochowskiej lub na polach Ostrołęki mężnie nadstawiali piersi.

Dzwonek przed zakrystyą zadzwięczał i wyszedł kapłan poważny wiekiem przy asyście dwóch innych księży. — Szmer się wszczął pomiędzy starą wiarą i jeden drugiemu podawał jakąś radosną uwagę i nie dziw, bo kapłan ten, to ich druh duszą i ciałem — Dziś żywot poświęcił służbie Bożej a wtenczas — w latach 1830—31 był dzielnym porucznikiem artyleryi i jak świadczą dziś towarzysze broni, — był to żołnierz wielkiego animuszu.

W czerstwych rumianych licach starca i pełnych życia oczach, maluje się jeszcze dziś ta przytomność duchowa i poczciwie spędzony żywot wiernego Ojczyźnie syna. Dla tego też Bóg obdarza go dziś łaską swoją, stawiając na służbie przy świątyni, której dzieje związane są z bohaterem, który oswobodził Chrześciaństwo od najazdu i zalewu Europy przez hordy azyatyckie. Kapłanem tym jest ksiądz Opat Nowakowski z Żółkwi, którego serce dotąd żyje jednem tętnem z bolami i nadzieją narodu. Cześć takiemu słudze Bożemu. — Uroczysta to była nader chwila, gdy po skończonej ofierze z podniosłością ducha do Pana nad Pany, czyniąc znak krzyża świętego, błogosławił starych towarzyszów bojów, drogich jego duszy druhów. Gdzieś spojrzał łzy płynęły po licach.

Po mszy świętej wzniósł się do nieba jakby z jednej piersi:

„Boże coś Polskę przez tak liczne wieki“.

Liczne grono członków rady miasta Lwowa, w pełnych strojach polskich przy karabelach pełnili służbę honorową przy weteranach.

Ks. Gola Ignacy, weteran z jazdy wołyńskiej, miał równocześnie drugą mszę przy bocznym ołtarzu.

Przed świątynią czekały liczne pojazdy i dorożki, które powiozły weteranów do kasyna mieszczańskiego. Cały plac przed świątynią, ulica Dominikańska i te, które prowadziły na miejsce uroczystości, pełne były mieszkańców Lwowa, którzy nie mogąc się pomieścić w świątyni, chcieli przynajmniej ujrzeć te szczątki wojsk polskich, które za wolność ojczyzny walczyły w 1830-31 roku.

Sala kasynowa ubrana była jedynie w zieleń i wzniesienie na którem zasiadał komitet uroczystości jubileuszowej.

Jakkolwiek podczas goszczenia Monarchy, całe miasto świetniało chorągwiami i godłami narodowemi polskiemi — w dzień dzisiejszej uroczystości, żaden taki znak nie był widomy.

O godzinie punkt 11-tej zapełniła się sala. Naturalnie, przy powitaniach się wzajemnych weteranów, nastąpiły rzewne sceny. Starcy rzucali się sobie w ramiona, bo nie jeden poznał druha — po długich latach — po półwiekowej rozłące.

Wejście porucznika Ezechiela Berzewiczego w pełnym mundurze, tak skromnym a wspaniałym, wzbudziło znowu powszechne wzruszenie. Bo też postać tego zucha pokrytego siwizną, jakby na model polskiego żołnierza stworzona. Mimowoli powracało oko do tego uroczego marsowem pięknem żołnierza

Na trybunie gdzie komitet zasiadał, wyróżniała się szlachetnością swą postać prezesa komitetu, weterana z 30—31 roku, Alfreda Młockiego, tego niestrudzonego opiekuna nie tylko weteranów z 1831 r. ale każdego Polaka i dobrej sprawy, którym pomoc nieść trzeba Siedem krzyżyków z górą, zaznaczył on żywota — cierpiący nieustannie fizycznie, a jednak jego gorące polskie serce nie zestarzało się ani o dzień, tak bije i tak czuje jak za pełni młodzieńczego żywota, wiary i nadziei w świętość idei przewodniej.

Muzyka „Harmonii“ w ułańskich mundurach zabrzmiała wiązanką nut narodowych, a „Marsz Dąbrowskiego“ wywołał entuzjazm, który się nie da opisać.

Gdy echo ostatniej nuty: „Jeszcze Polska nie zginęła“ przebrzmiało, zaintonował chór Towarzystwa muzycznego psalm Ujejskiego, ze skarg Jeremiego, (muzyka Niewiadomskiego):

Wierzymy Panie, o wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystko upodobał sobie,
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie!
Że nam na niebie już świta zaranie:
Wierzymy Panie!

Po odśpiewaniu tego hymnu, powstał Dr. Tomasz Rayski mecenas, który w każdej narodowej sprawie bierze udział i powitał w imieniu miasta weteranów, a następnie oddał słowo deputowanemu do Rady Państwa Ottonowi Hausnerowi, po którym mówił szanowny nasz dziejopis Henryk Schmitt. Z przykrością przychodzi nam oświadczyć, że tych na wskróś przejmujących du-

---

Krzysztof Lubicz Baczewski. Urodzony na Wołyniu w 1815 r. we wsi Worotniowie, z ojca Jana, właściciela dóbr i sędziego w ziemstwie Łuckiem.

Krzysztof uczęszczał do gimnazyum w Krzemieńcu — w skutek wybuchu cholery uczniowie zostali rozpuszczeni, a Krzysztof Baczewski wraz z starszym bratem poszedł do powstania Wołyńsko-Poleskiego pod naczelnictwo Worcela i hr. Olizara. Po rozbiciu tegoż powstania pod Kowlem, skompromitowany nie mogąc się przyłączyć ani do Karola Rożyckiego, ani do wkraczającego na Wołyń generała Dwernickiego, zmuszony był Baczewski uciekać do Galicyi, a potem przeprawiwszy się przez Wisłę pomiędzy Sandomierzem a Zawichwostem, wstąpił do legii Litewsko-Ruskiej kawaleryi. Gdy jednak okazało się, że siły miał nader wątłe, przeznaczono go w tejże samej legji do piechoty. W Stopnicy wykonał przysięgę na wierność Ojczyźnie, i takowej sumiennie po dziś dzień dotrzymał.

Ranny i wzięty do niewoli pod Pinczowem umknął z transportu po przejściu Wisły w Zawichoście z rąk nieprzyjaciela do Galicyi, gdzie przez straż pograniczną austryacką przytrzymany do obozu Romarinego pod Niskiem jako zbieg z tego, w łańcuszkach odstawiony został. Obozując w polu pod gołem niebem w październiku dostał cholery a potem tyfusu i przeleżał w Łańcucie w szpitalu przez sześć miesięcy. W maju 1832 r. odtransportowano go do Lwowa, lecz w drodze zatrzymać się musiał jeszcze parę tygodni w szpitalu przemyskiem.

Następnie przebywał w „Sztockhauzie“ we Lwowie w szpitalu, a nareszcie w więzieniu w koszarach „Maryaszów“ na Żółkiewskiem

Przez szczególną łaskę Arcyksięcia Karola zwiedzającego koszary, z szesnastu uwięzionych kadetów wojska polskiego, 12tu do ułanów na lat sześć wcielono. Resztę zaś do których i Baczewski należał wytransportowano pod strażą wojskową aż do granicy bawarskiej. Za Budziejowcami czeskiemi wręczono paszporta do Francyi i dano każdemu po 20 cwancygierów na drogę. Przez Niemcy i Szwajcaryą, przybył Baczewski do Francyi w r. 1833 w miesiącu kwietniu.

Od r. 1840 aż do wojny z Prusami zamieszkiwał w Paryżu, pracując od r. 1850 samodzielnie w zawodzie architektonicznym w Neuilly-Paris.

Po wojnie francuzko-pruskiej przybył do Galicyi. Powodem do tego powrotu była choroba zwana przez lekarzy „Nostalgią“ czyli tęsknota za krajem, a oraz familijne sprawy, w których nielitościwie pokrzywdzony został, gdyż 20.000 tysięcy dukatów intabulowanych na dominium Zołkiewskiem całkowicie przepadły. Obecnie Krzysztof Baczewski schorzały i znękany walczy z niedostatkiem i z wielką tylko trudnością może znaleść na tyle pracy, aby faktycznie nie umarł głodową śmiercią.

Aleksander Dłuski. Urodzony dnia 8. października 1811 r. we wsi Gruszowie, województwie Krakowskiem, z ojca Karola i matki Rozalji z Cenzlerów. — Uczęszczał do szkół krakowskich, zkąd wprost w kwietniu 1829 r. wstąpił do wojska polskiego do 2go pułku ułanów. Po bitwie pod Ostrołęką awansował na podoficera i był ranny w tej bitwie kulą karabinową w nogę. — Następnie był w bitwach pod Grochowem, Wawrem, pod Wielkim Dębem, pod Domoniewicami, pod Iganiem, Kuflewem, Jędrzejowem, Mińskiem, a na ostatku przy obronie Warszawy w dniach 7. i 8. września. Był po raz drugi ranny pałaszem w głowę pod Iganiem.

W roku 1831 powróciwszy do kraju z Prus, dokąd wkroczył z korpusem generała Rybińskiego, trudnił się gospodarstwem rolnem u różnych obywateli przez lat 44. Majątek jego wskutek śmierci matki w nieobecności jego przywłaszczony został, a raczej wydarty przez niejakiego Pozowskiego Józefa, który się ożenił z jego bratową po najstarszym bracie Ignacym Dłuskim.

W roku 1863. Dłuski brał czynny udział

cha przemówień nie możemy podać z powodu zakazu ck. Prokuratoryi.

Przystąpiono do rozdania medali pamiątkowych wraz z dyplomami.

W pierwszym rzędzie weteranów zasiadało dwóch Belwederczyków: Paszkiewicz Karol i Rettel Leonard. Wręczono im medale srebrne, gdy innym weteranom brązowe.

Sala drżała od uniesień, ciśnięto się do tych żyjących pomników nocy „listopadowej". Trzeci Belwderczyk Ludwik Nabielak nie przybył z powodu zdrowia. Paszkiewicz przybył z Rumunii, a Rettel z Paryża.

Dwóch mieszczan lwowskich w strojach narodowych roznosiło medale i dyplomy na srebrnych tacach Weteranom, których imiona i nazwiska wraz ze stopniami i rodzajem broni w jakiej służyli, czytano z trybuny komitetu.

Gdy odczytano: „Korczyński Józef żołnierz z 4 pułku ułanów, z korpusu Dwernickiego" — powstał ten dziadek kościelny w białym płaszczu z czerwonym krzyżem na piersiach, o którym już mówiliśmy. Łzy radości niewymownej trysły mu z oczów, gdy do niego gromadą cisnął się każdy kto mógł dostąpić, aby staremu wiarusowi uścisnąć rękę.

Uniesienie doszło do zenitu, gdy znowu usłyszano nazwiska: Malczewskiego Juliana kapitana, i Rogalskiego Adama podoficera jako żyjących pomników nieśmiertelnego pułku „Czwartaków". „Niech żyją! Niech ich Bóg trzyma jak najdłużej! — Cześć! — „Górą Czwartaki!"

Fanfary zagrzmiały z galeryi i okrzykom czci nie było końca.

Po rozdaniu medalów, przemówił hr. Leszek Borkowski weteran z r. 1830—31 w imieniu Towarzyszy, a przemówił również serdecznie i porywająco jak poprzedni mówcy. Mowy tej niewolno także drukować.

Na zakończenie zawiadomił komitet, że do godziny ½2giej nadeszło 40 z różnych stron pism i telegramów.

Odczytano w całości pismo od Braci naszych z Warszawy.

Wszystkie telegramy i pisma tchnęły całą potęgą łączności narodowej.

A nadesłali takowe rodacy z Nowego Yorku, z Towarz. „Ogniwa" i „Opieki Narodowej" z „San Francisco", z „Grand Rapids" z Tow. Narodowego, „Chicago", z Portugalii od jenerała Chełmickiego, z Kaliforni od Tow. polskiego, z Muzeum w Rapperswyll w Szwajcaryi, z Czytelni polskiej w Paryżu, od Polaków z Florencyi, Turynu, Medjolanu, Rzymu; z Bordeaux, z Biblioteki polskiej w Jassach, z Genui, od Tow. polsk. w Paryżu. Od weteranów zakładu pols. „Czci i chleba" w Paryżu. Od Różyckiego (Rosenwertha) w imieniu Polaków zamieszkałych w Monachium, z Wiednia od stow. „Zgoda i Przytulisko polskie." Od Nabielaka belwederczyka chorego w Paryżu.

Od koła polskiego z Rady państwa z Wiednia nadszedł następujący telegram:

„Posłowie polacy zgromadzeni w Wiedniu przesyłają życzenia weteranom armii 1831 r. i łączą się z nimi w myślach i uczuciach". Leon Chrzanowski, Seweryn Smarzewski (!), Baum (!), Franciszek Smolka (!), Rydzowski, Horodyski, Apolinary Hoppen, Czerkawski, Jerzy Czartoryski, Dzwonkowski, Józef Tyszkowski, Żuk Skarzewski, Towarnicki, Alfons Czajkowski, Jaworski Wolski, Ludwik Skrzyński, Władysław Fedorowicz, Pęgowski, Chełmecki Puzyna, Raczyński, Zborowski, Madejski, Spławiński Gniewosz, Zygmunt Kozłowski, Antoni Oborski, ks. Gołda, Antoni Chamiec, Starzyński, Bartmański (!), Julian Czerkawski, Rittner, Mikołaj Wolański, Rappaport.

Weterani emigracyj pols w Juvisy (Seine et Oise).

Weterani i Rodacy z Nancy. Bagin San Guilimo (pod Pizą) z Kairu w Egipcie.

Nadeszły telegramy od weteranów zamieszkałych w kraju, którym zdrowie niedozwalało przybyć jak: Mikołajowi Tur-Przedrzymirskiemu, Walentemu Milewskiemu, Karolowi Bieniedzkiemu, Józefowi Przyłęckiemu Władysławowi Bielańskiemu, Władysławowi Piotrowskiemu, Stanisławowi Szczepanowskiemu, Konstantemu Matczyńskiemu. Nakoniec ze wszystkich zakątków kraju i innych ziem polskich nadesłano mnóstwo telegramów i listów.

Wieczorem odbyła się uczta w Ratuszu a jako nieobecni z powodu choroby, podajemy opis podług Dziennika pols.

„Główna sala, mieszcząca przy stołach w podkowę ustawionych, blisko 200 siedzeń przeznaczoną była dla jubilatów. W trzech pokojach przyległych urządzono miejsca dla innych gości. Zaraz po wejściu do sali uderzała olbrzymia dekoracya, okrywająca całą ścianę, a wyobrażająca w emblematach polskich grupę wojskową, pośród której krakus z sztandarem na którem wypisane były nazwiska wszystkich Belwederczyków, a trzech żyjących jeszcze: Nabielaka, Rettla i Paszkiewicza złotemi literami. W linjach prostopadłych i poziomych obok tej grupy jaśniały nazwiska poległych z wymienieniem bitwy, tudzież kilku, którzy się szczególnie odznaczyli. Na jednym z filarów przytwierdzone były wizerunki *) kobiet zasłużonych w r. 1831. Marja Raszanowicz, Emilia Plater, Emilja Szczaniecka, Klementyna Hoffmanowa Klaudya Potocka, Antonina Tomaszewska i Kunegunda Ogińska.

Na drugim filarze były umieszczone wizerunki (również przez Mieczkowskiego reprodukowane fotograficznie) Henryka Dembińskiego, Jana Skrzyneckiego, Ludwika Kickiego, Piotra Wysockiego, Józefa Sowińskiego, Józefa Bema i Józefa Dwernickiego.

Oba obrazy złożone będą w Zakładzie nar. im. Ossolińskich na pamiątkę.

O godz. 8ej wszystkie lokale na ucztę przeznaczone zaledwo mogły pomieścić uczestników, około 400 osób. Jedną galerję zajęła kapela Harmonii, drugą liczne grono pań.

Do stołu honorowego zostali zaproszeni między innemi reprezentanci Wydziału krajowego pp. Pietruski, Badeni, Hoszard i Waygart. Ze strony grodu stołecznego sąsiadowali z nimi Dąbrowski Wacław i Madejski Marceli

Belwederczyków: Paszkiewicza i Rettla usadowiono w samem ognisku sali. Mieszczaństwo lwowskie — radni miasta i liczni obywatele wystąpili w strojach narodowych, a widząc cokolwiek natłok, ustępowali swych miejsc gościom, i zajmowali się służbą. Główny gospodarz p. Simon osobiście wskazywał miejsca zaproszonym.

Po drugim daniu rozpoczęto toasty.

Romanowicz w świetnej przemowie wniósł toast na cześć ojczyzny, który spełniono powstawszy. Goldman wniósł zdrowie jubilatów r. 1830 i 1831. Gdy się uciszyło, osobliwsza scena zwróciła wszystkich oczy na siebie. Trzy dziewczynki w bieli z wianuszkami na główkach przechodząc wzdłuż stołów pojawiły się koło Belwederczyków. Jedna z nich 8-letnia Jadwiga Marszałkiewiczówna (córka kupca lwowskiego) postawiona na krześle wierszykiem powitała p. Paszkiewicza, prosząc o błogosławieństwo.

*) Ze znakomitej pracowni fotograficznej Mieczkowskiego we Lwowie.

---

w organizacyi powstańczej, a podczas bitwy, którą Chmieliński stoczył pod Objechowem — stary wiarus głównie się przyczynił do zwycięztwa i że oddział mógł się szczęśliwie wycofać przed przemagającą siłą Moskali. Uwięziony, trzymany był w Kielcach przez trzy miesiące i za wielkiemi staraniami zdołano go ochronić od podróży na Sybir. Dłuski walczy obecnie w Krakowie z nędzą i głodem.

Karol Żmigrodzki. Urodził się w b. obwodzie stryjskim w Galicyi w r. 1810 w miasteczku Skole. Rodzice jego byli zamożni, lecz straciwszy majątek wskutek redukcji monety przenieśli się w głąb kraju a ojciec Karola spełniał obowiązki oficyalisty. Karol ukończył „filozofią" we Lwowie w r. 1828. Gdy okazywał wielką chęć do stanu wojskowego, aby temu przeszkodzić, oddano go na reformę do OO Jezuitów w Tarnopolu. Nie zmieniło to jednak jego postanowienia, a napłatawszy OO. Jezuitom mnóstwo figlów po porozumieniu się z kilku oficerami umknął cichaczem z konwiktu i w r. 1829 wstąpił jako prosty żołnierz do konsystującego w Tarnopolu 4go pułku huzarów. Gdy ojciec przekonał się, że syn postanowienia nie zmieni dał mu swe zezwolenie, poczem przyjęto go jako kadeta „ex propriis". Na krótki czas przed wkroczeniem generała Dwernickiego do Galicyi, zapadł na krwiotok skutkiem wypadku z koniem, wskutek czego został jako niezdatny ze służby uwolniony Po powrocie do domu jak tylko wyzdrowiał i przyszedł do sił, wyekwipował się kompletnie i w towarzystwie Izydora Sobańskiego rozbitka z oddziału generała Kołyski, udał się do szeregów narodowych, lecz trafił nieszczęśliwie bo na czas, kiedy generał Rüdiger przeszedłszy Wisłę pod Zawichostem przeciął kommunikacyą z Warszawą. Karol zwrócił się w krakowskie i w Staszowie zaciągnął się do 3. szwadronu pułku legii nadwiślańskiej, pod dowództwo kapitana Strachockiego a później Rozwadowskiego. Z plutonem pod komendą porucznika Tytusa Szumlańskiego, który przyłączony został do jazdy wołyńskiej Karola Rożyckiego brał udział we wszystkich utarczkach i bitwach a mianowicie pod Iłżą i Lipskiem. Gdy Korpus wszedł do Galicyi, Żmigrodzki po amnestyi wrócił do domu rodzinnego. Wziąwszy później dzierżawę, jako nieobeznany z gospodarstwem, stracił co posiadał, poczem udał się do Lwowa przysiedział fałdów i złożył egzamin pedagogiczny. Do roku 1848 trudnił się guwernerką po znaczniejszych obywatelskich domach. Rok ten zastał go zagranicą. Na pierwsze hasło pospieszył do Galicyi, gdzie niezwłocznie zajął miejsce wachmistrza instruktora w konnej gwardyi, przezwany później wachmistrzem „Doroszem".

Ranny ciężko podczas bombardowania Lwowa, kawęczał do r. 1849. Na pierwszą jednak znowu wiadomość o istnieniu legionu polskiego na Węgrzech z ranami jeszcze niezupełnie zabliznionemi, pospieszył pod sztandar narodowy. W Koszycach zjechał się z generałami Dembińskim i Wysockim, na rozkaz ostatniego udał się w drogę naprzeciw legionowi, który maszerował z Pesztu dla wskazania mu drogi na miejsce przeznaczone do reorganizacyi. W Miskolczu powierzono mu formacyą 3. szwadronu 1go pułku ułanów, zostającego pod rozkazami Władysława Ponińskiego. Formacyę tę w 6 tygodni szczęśliwie przeprowadził i szwadron stanął na linji bojowej. Po nieszczęśliwej bitwie pod Temeszwarem przeszedł z legionem przez Dunaj i Serbię do Turcyi i został internowany w Szumli. Po trzynastu miesiącach uwolniony, dostał się do Warny a ztamtąd do Stambułu, gdzie niemogąc dostać zatrudnienia, poznał się z niejakiem Vilaju, kapitanem parowca francuzkiego, który go bez wynagrodzenia przewiózł do Marsylii. Wylądowawszy, ujrzał kolegów pracujących po fosach i w innych ciężkich zatrudnieniach. Zażądał paszportu do Paryża; takowy został mu odmówiony, z powodu niemożności wykazania funduszów na podróż. Otrzymawszy nareszcie z jakiejś składki 50 franków, powrócił do Stambułu, gdzie zastał porozlepiane olbrzymie plakaty — ogólnej amnestyi. Party tęsknotą za

„Byśmy przez męki, jak wy silnie, szczerze
W polskiej wytrwali wierze!“

I ofiarowala Belwederczykom wieniec laurowy. P. Paszkiewicz rozrzewniony do łez, ucałował dziewczynkę w czoło, a zwracając się do towarzyszy, długo nie mógł dobyć głosu ze wzruszenia. Drżącemi słowy, które przerywało łkanie dziękował obywatelstwu miasta za dowody czci. „Niech żyją Belwederczyki!“ z trzystu piersi zagrzmiało, a muzyka dopełniła chóru. Dwie inne dziewczynki Marya i Zofia Klimowiczówny*) z tacą obeszły weteranów i przypinały każdemu śliczne bukieciki z żywych kwiatów ze wstążeczkami o barwach narodowych. Był to jeden z najbardziej rozczulających ustępów całego wieczora.

Z kolei toastów, sędziwy Janko odpowiadał imieniem weteranów, a Młocki wniósł zdrowie Belwederczyków, na co dłuższą przemową odpowiedział Kettel. Następnie Mikołaj Bołoz Antoniewicz odczytał swój wiersz poświęcony jubileuszowi. Darowski Miecz. poświęcił dłuższą przemowę męczennikom i tułaczom, tudzież generacyi z r. 1863. Hausner w mowie z zapałem przyjętej, motywował toast na cześć przyszłości i na cześć tych wszystkich, którzy dla niej pracują.

Hr. Starzeński Leopold deklamował swój wiersz — lecz nawet treści podać nie możemy. Szmitt Henryk objaśnił obecnych o uchwale komitetu, dotyczącej zawiązania funduszu na nagrody dla nauczycieli ludowych, i połączył z tem toast „kochajmy się“, powierzony poprzednio prof. Małeckiemu Ant. Antoniewicz wypił zdrowie Walerjana Podlewskiego, a Podlewski cześć Polek, na co kapela zagrała pieśń: *„Patrz Kościuszko na nas z nieba“*.

Hausner i Piątkowski zebrali zaraz na fundusz dla nauczycieli kilkaset guldenów, podczas gdy towarzystwo gwarząc bawiło się rozmową, pełną wspomnień i przypomnień, i tak aż do północy, poczem staruszkowie pokwapili się do domu. Podczas uczty nadeszło 40 telegramów.

Uroczystość cała odbyla się z powagą, jak na to jubileusz zasługiwał“.

Spis imienny weteranów podamy później

*) Marja jest sierotą po ś. p. znanym Ludwiku Klimowiczu, c. k. urzędniku politycznym, a Zofia jest córką znanego we Lwowie obywatela - ogrodnika Jana Klimowicza.

Z przykrością przychodzi nam zaznaczyć, że aczkolwiek w komitecie zasiadali najzacniejsi obywatele i inni znani z czynów swych patryoci, ci jednak nie mieli tej odwagi i stanowczo nie założyli veto! przeciw innym kolegom, którzy mniej skrupulatni, nie wahali się wprowadzić do komitetu osobistości, które raz na zawsze, przynajmniej w takiej doniosłości uroczystościach nie powinny być przypuszczone do jakiegokolwiek udziału.

Jest to nader boleśnem, jeżeli nam zbywa na cywilnej odwadze, wykreślenia raz na zawsze takich nazwisk, które cuchną zgnilizną moralną.

Zapytujemy, czy się godziło wciągać do komitetu osławionego bankiera i takowemu poruczyć przy wstępie do sali kasynowej — przyjmowanie i witanie weteranów?

Dalej podczas uczty w ratuszu, pojmujemy, że do stołu „honorowego“ (a więc weteranów) wypadało zaprosić kilka wybitnych i znanych z czynów obywatelskich mężów. Ale jak to wyglądało, gdy przy tem „honorowym stole“ zajmowali miejsce tacy dygnitarze — których miejsce nietylko przy stole honorowym — ale nawet w ogóle na uczcie, nie powinno mieć miejsca.— Sadzano ich z krzywdą dobrze zasłużonych ojczyźnie a zaproszonych na ucztę weteranów, których zapewne dla tego, że biedni, powypychano do stołów w bocznych pokojach!

Fakta te mamy wprost od zacnych weteranów. Naturalnie, że p. Oktaw Pietruski, już z samej wdzięczności za to, jak sobie postąpił z odezwą komitetu węgierskiego przed odsłonięciem pomnika Bema — zasłużył na miejsce honorowe.

Byliśmy, jesteśmy i bodaj czy niepozostaniemy niepoprawni. Waga worka i „der höhere Schwindelsinn“— oto są bożyszcza, których się wyrzec nie mamy odwagi.

Ręka, sumienie, mogą być zbrudzone i zwalane w błocie moralnem— byle tylko odnośna znakomitość, miała władzę szafowania nepotyzmem i brzęczała pełnym workiem. Wtenczas ją nietylko cierpimy, ale liżemy się ohydnie, aby sobie zasłużyć na jaki ochłap.

Uderzmy się w piersi i zapytajmy własnego sumienia: „Czy nam się godzi blagować jakiemikolwiek świętemi ideami?“

Notujemy w końcu i to, iż wyraźnie usiłowały jakieś złe duchy w dzień jubileuszowy wywołać licznemi wieściami, coś nakształt nocy 16. listopada przed dwoma laty podczas uczty dla O. Hausnera dla tego zapewne rozsiewano wieści o „fakelzugu“, który miał ruszyć z Wysokiego Zamku. Policya a nawet w Namiestnictwie p. radca Löbel byli podobno nawet po północy jeszcze w pogotowiu. Pomimo tych fałszywych prowokacyj Jubileusz zakończył się we Lwowie z odpowiednią godnością.

Zaznaczamy jednak i to, że była we Lwowie wielka różnica, co do udziału Obywatelstwa z prowincyi — wyższych sfer towarzyskich. Gdy w Dziennikach poznańskich, można wyczytać setki przyjezdnych szlachty i hrabiów, we Lwowie — świecili oni nieobecnością. — Brakowalo nawet takich osobistości, o których nikt nie przypuszczał, że nie wezmą udziału.

Projekt
Hrabiny Anny z Działyńskich Potockiej.

(Ciąg dalszy.)

Że jedynie otwarcie „Bazarów“ może u nas stać się pieleszą dla rozwoju przemysłu domowego — pewnik ten nie ulega najmniejszej wątpliwości; lecz i to potrzeba przedewszystkiem baczyć, że prawidłowa organizacya takiego „Bazaru“ jest nader względna. Opierając się na doświadczeniu, nie można się opierać na patryotycznem obywatelskiem poczuciu kupujących, gdyż w obec chaotycznych i błędnych wyobrażeń jakie w społeczeństwie naszem przeważnie się zagnieździły, bardzo by się ten rozczarował, ktoby na taką pomoc chciał liczyć. Nie zaprzeczamy, że sporadycznie można znaleść ludzi, którzy nawet wytrwale popierać będą takie „Bazary“ — ale takie wyjątki nie będą dostateczną dźwignią. Przypuszczamy nawet, że w samym początku otworzony „Bazar“ stanie się modny i wywoła fajerwerkowe uniesienia, protekcyę, ofiarność, a nawet frazesy „poświęcenia.“

Będzie to dobre na dziś, ale nie na jutro. — Po krótkich chwilach istnienia „Bazaru“, rość będą jak grzyby po deszczu, rozmaite żądania, wymagania, niczem nie uzasadnione uwagi, rady i nowe projekta: — A jeżeli tym wszystkim fantastycznym ideom zarząd i rzeczywisty protektorat nie będzie chciał lub mógł zadosyć uczynić, wtenczas można być przygotowanym na codzienne

krajem, za matką sędziwą i rodzeństwem, zażądał w ambasadzie paszportu do powrotu, takowy uzyskał i wybrał drogę przez Mołdawją gdzie z czasów studjów znał Sturdzę i Gikę, a więc liczył w ostateczności na ich pomoc. Przybywszy do Gałaczu, nieprzyjęto go do kwarantanny z powodu protestu moskiewskiego konsula, który niedopuszczał do Mołdawii „insurgentów“. Niemając funduszu do powrotu, zmuszony był udać się do Węgier, lecz parowiec węgierski, Aprat, uszkodzony nie odchodził aż za dni 14. Biedny legienista przez ten czas umierał prawie z głodu i zimna, koczując nad brzegiem Dunaju. Po 14 dniach przyjęty na statek bez grosza, jedynie z litości przez bawarskiego oficera utrzymywany, wylądował w Orsowie gdzie go uwięziono, a następnie pod eskortą pieszo odstawiony został do Temeszwaru temi samemi drogami, któremi niedawno zwycięzko z legionem przechodził.— W Temeszwarze oddany profosowi wsadzony został do kazamaty fortecznej stawiony przed sąd wojenny wyrokiem tegoż asenterowany został do pułku galicyjskiego, który tamże konsystował.

Po trzynastu miesiącach uwolniony na mocy rozporządzenia ministra wojny, wydanego dla przymusowo zaciągnionych. Pod opieką żandarma do Lwowa odstawiony został. Tu znowu włóczony po sądach, za przekroczenie granicy znowu uwięziony. Po odsiedzeniu kary oddany był pod dozór cywilny i wojskowy i internowany we Lwowie.

Mając wszelką karyerę zamkniętą, po wielkich trudach i za protekcyą konsystorza obrz. łac. dopiero w r. 1856 otrzymał miejsce nauczyciela szkoły miejskiej w Lubaczowie. Tam przy nader nędznej płacy aż do r. 1870 utrzymywał matkę staruszkę, żonę i dzieci. Straciwszy matkę i żonę, znękany ciągłemi komisyami, jakie na niego, tamtejsi mieszkańcy, nieprzyzwyczajeni do porządku szkolnego, sprowadzali, zrezygnował z posady za wynagrodzeniem w stosunku 2-letniej służby. Z tem zasobem i uzyskaną kwotą ze sprzedaży ruchomości, przeniósł się z dziećmi do Lwowa. Po niejakim czasie, ks. Adam Sapieha wyrobił mu miejsce zastępcy kuratora przy obłąkanym księciu Radziwille Wilhelmie w Nikołowicach. Po 18-tu miesiącach tego nader przykrego obowiązku, który mógł życiem przepłacić, uwolnił się i wrócił do Lwowa. Poumieszczawszy dzieci, dostał się nareszcie przed 6ciu laty do Wydziału krajowego na dyurnistę, gdzie pobiera 36 złr. miesięcznie.

Nie potrzeba tu mówić, że w 70 roku żywota byt tego starca jest smutny a siły go coraz więcej opuszczają. Skromny i cichy z rezygnacyą znosi swą dolę, chętnie wspomina złote sny nadziei i tak jak zakon żołnierski nakazuje, czeka ostatniego apelu.

Teodor Kudła. Urodzony w Jarosławiu r. 1814 wstąpił do szeregów narodowych 12. grudnia 1880 roku do 10. pułku piechoty jako szeregowiec. Brał udział w bitwach pod Grochowem i pod Warszawą przy Wolskich rogatkach. Pod Ostrołęką był ranny w brodę i w prawą nogę. Po powrocie do Galicyi od r. 1839 jest grabarzem przy cmentarzu grecko-katolickim w Jarosławiu.

Jakób Godziński. Urodził się w Górze Kalwaryi w województwie Mazowieckiem. Ojciec jego był rzeźnikiem w Warszawie, a on czeladnikiem szewckim. Na pierwszy odgłos powstania zapisał się natychmiast do pułku jazdy podlaskiej i dosłużył się rangi wachmistrza szwadronowego. Brał udział we wszystkich potyczkach i bitwach, jakie pułk ten staczał, przeszedł z korpusem do Galicyi, później udał się do Warszawy. Gdy go chciano wziąć do szeregów moskiewskich, umknął znowu szczęśliwie do Galicyi. Tu dłuższy czas trudnił się szewctwem, a od lat 25 jest kościelnym w Jarosławiu.

(C. d. n.)

odszczepieństwa tych klientów, którzy co tylko na wszystkie strony trąbili pożyteczność, a nawet sławę „Bazarów".

Jak powiadam, na te wszystkie przypadłości potrzeba się przygotować.

Nie zapomnijmy i o tem, że nasz świat kupiecki nie będzie także patrzał chętnym okiem na ten objaw konkurencyi handlowej i szukać będzie dróg do podkopania „Bazarów", czy znajdzie słabą stronę lub nie. Kupiectwo chociaż zrozumie w duchu słuszność, która „Bazary" wywołała, to nie uderzy się prędzej w piersi i nie przyzna do grzechu popełnionego względem rozwoju przemysłowego, dopóki nie będzie przyparte do muru. A takie przyparcie, nie jest znowu tak trudną rzeczą, jakby się komuś zdawać mogło.

Projekt hrabiny A. Potockiej, ma już w założeniu swem nader ważną rzecz za sobą, a to tę: że autorka bardzo dobrze zrozumiała, iż w obecnych naszych stosunkach, zorganizowanie „Bazarów" — powinna ująć pod ręce ta siła, która jeżeli nie ma chwilowo, to może mieć środki materjalne odpowiednie. Siłą tą jest bez zaprzeczenia Wydział krajowy, w którego gronie zasiada osobna komisya dla „Przemysłu domowego". Do tej władzy należy, aby użyła wszelkich sił do wprowadzenia „Bazarów" w życie. — Pani hrabina A. Potocka w projekcie swym do Wydziału krajowego, w którym zwraca uwagę na jedną smutną prawdę i niepraktyczność pod względem dotychczasowych dobrych chęci podniesienia „Przemysłu domowego", przytacza kilka bardzo cennych faktów, a mianowicie: stwierdza niechęć naszych pp. kupców do przemysłu krajowego Ale mówmy o tem własnemi słowami tej nieocenionej protektorki „Przemysłu domowego."

„W Korczynie znajduje się paręset tkaczy, robią oni płótna prześliczne, obrusy nawet damasowane, które z pewnością w niejednym handlu kupujemy za saski wyrób. Istotnie bowiem nie ustępują mu zupełnie w dobroci. Jednakże podobnej nędzy jak w Korczynie nie widziałam, a nie nędzy tylko ale niewoli! Niech ci co łzy znajdują na opłakanie niewoli murzynów, posłuchają i ulitują się niewoli własnej braci.

Przędzę na wyroby sprowadzają tkacze z zagranicy, ale skoro tylko z nowego jakiego źródła wypiszą przędzę żydzi, którzy każdy krok ich szpiegują, w tej chwili jadą do tego miejsca i monopol na przędzę sobie kupują tak, że prócz nich nikt w całej okolicy przędzy sprowadzić nie może, a skoro ten pierwszy materyał jest w ich rękach, to i cała dola tych biednych ludzi. Przędzę na wyroby umyślnie sprzedają tak drogo, aby się im robota na własną rękę nie opłacała. Z konieczności więc biorą od żydów przędzę na wyrobek i fakt, że od sztuki płótna żaglowego tak zwanego „Segel-Tuch" płacą jeden reński, a że wyrobienie jednej sztuki takiego płótna przy pilnej robocie trwa tydzień, więc robota dzienna tkacza przynosi mu 16 centów.

Gdyby nie to, że jeszcze utrzymują się z małych kawałeczków roli, pomarliby z głodu dawno. Przy takich stosunkach, przy takiej nędzy nieszczęśliwi ci ludzie głodem zmuszeni u tychże spekulantów biorą pieniądze naprzód na robotę, od tych pieniędzy liczy się jeszcze lichwiarski procent i nieszczęsny tkacz, jego czas i praca, stają się wyłączną własnością żyda, który mając go w swojej mocy, stoi nad nim jak kat nad niewolnikiem i jest jakoby panem życia i śmierci jego.

W tych stosunkach jak się dziwować, że żydzi, którzy przed niedawnemi laty z torbami na plecach przyszli do Korczyny, dziś mają kamienice i kapitały, któremi obracają na korzyść swoją a niekorzyść robotników.

Poruszyłam wiele osób opowiadaniem o Korczynie, zdawało się, że apatya przełamana, że coś zrobią dla tych nieszczęsnych ludzi i na co się zdobyto? oto chciano szkołę tkactwa zaprowadzić w Korczynie! Czy śmiać się czy płakać nad tak fatalnem niezrozumieniem sytuacyi! Jeździł tam ministerjalrath Hermann, a więc ludzi co wybornie fach swój umieją, chciano uczyć więcej jeszcze i na co? aby spekulantów korczynieckich wzbogacić i wydać na taką szkołę 10 razy tyle, ileby kosztowało założenie bazaru dla przemysłu domowego w Krakowie. Nieszczęśni ci nędzarze zniechęceni i przygnębieni nie ufają, aby kiedykolwiek w ich stanie coś na lepsze zmienić się mogło, jak każdy co głodny i opuszczony podejrzywają i poczciwe dla nich zamiary, przekonaliśmy się o tem, gdy radca ministeryalny Hermann ze starostą przyjechał odwiedzać Korczynę i przyglądać się wyrobom, biedacy myśląc, że to nowy jakiś cios im grozi, może podatek większy, pomimo zapewnień i zaklęć tych panów w panicznej trwodze warsztaty łamali, rąbali, na strych wynosili, kryli się w krzakach lub przydybani z nienacka w domu, zaklinali się, że nie są tkaczami, że warsztat tylko stoi jako pamiątka po pradziadkach.

O nie śmiejcie się czytając to. Za tę ich nieufność, za to przeświadczenie, że nigdy nic z wysoka dobrego dla nich nie przyjdzie, czy im czy nam przyjdzie zdawać przed Bogiem rachunek, i jeżeli kiedy podszepty szatańskie socyalizmu przyjmą się w tych zgorzkniałych sercach, nie dziwmy się i nie rzucajmy kamieniami."

Przytoczyliśmy ten ustęp, aby dać chociaż malutką próbkę o faktach pomocy, o których w swoim czasie z takiem uniesieniem głosiły dziennikarskie sprawozdania. Takie poronione projekta gdyby nawet weszły w życie, nieby nie pomogły a przynajmniej pieniądz zostałby zmarnowany. W tkactwie nie odrzucamy wprawdzie bezwzględnie szkół, lecz pozostawilibyśmy takowe na później. Dzisiaj potrzeba przedewszystkiem tak tkaczowi jak każdemu innemu przemysłowcowi chleba i wydobyć go ze szponów wyzyskiwaczy.

Nie chcę się rozpisywać za nadto obszernie dla czego drogi jak te nie przyniosą na razie korzyści, pozostawiam to na później, a przystępuję wprost do rozbioru sprawy „bazarowej" podług projektu hrabiny Anny Potockiej.

Projekt ten podaje myśl, aby „Bazar" podzielony był na dwie części.

Pierwsza ma obejmować snycerstwo, koronkarstwo, tokarstwo, koszykarstwo, garncarstwo — w ogóle przemysł domowy rękodzielniczy.

Druga część masło, ser, konserwy, owoce, konfitury, grzyby, ogrodowiny, drób, zwierzynę itd. — czyli dział spożywczy — z domowego gospodarstwa.

Jesteśmy za jednym i drugim działem, ale z tą różnicą zdania, aby te dwa działy nie mające ze sobą nic wspólnego, były zupełnie od siebie oddzielone. Mają stać pod jedną kontrolą, ale każdy dział jako samoistna całość.

Łącząc te obydwa działy razem, musiałby jako konieczne następstwo wyniknąć nieporządek administracyjny, utrudnienie operacyj handlowych, które się w żaden sposób nie dadzą pogodzić. Produkcya rękodzielnicza a spożywcza gospodarstwa domowego, wymagają odrębnego ruchu, który połączony pod jeden ster, działałby na szkodę wzajemną.

Już ta jedna przyczyna, że okres obrotowy wyrobów rękodzielniczych jest daleko powolniejszy od artykułów spożywczych powinna przeważyć za odrębnością. Ostatni potrzebuje nieustającej pilności niemal dniem i nocą, czego ta sama administracya w żaden sposób nie mogłaby wykonać.

Przy dalszem omówieniu może to moje twierdzenie wystąpi w wyraźniejszych zarysach.

W dziale przemysłu domowego rękodzielniczego, przyjmuje hr. P. jedynie wyroby, które w ścisłem słowa tego znaczeniu wykonane zostały przez ręce wieśniaka lub małomieszczanina obojga płci, a więc przez robotnika, który przeważnie przemysł rękodzielniczy traktuje peryodycznie, jako pracę dodatkową przy gospodarstwie.

Bazar w ten sposób zorganizowany, mógłby wprawdzie istnieć samodzielnie ale tylko wtenczas, gdyby już się rozszerzył na większą ilość różnych przedmiotów i oprócz tego mógł już od początku liczyć na zrozumienie obowiązku i poparcie przez większą część społeczeństwa przynajmniej polskiego.

Na tych fundamentach, jak to wyżej zostało powiedziane budować „Bazaru" nie wolno. Byłoby to wielkie ryzyko.

Nie zgadzamy się również z p. hr. A. P., aby gdy przemysł domowy bez „Bazarów" mógłby popaść w agonię (na co się zupełnie zgadzam) otworzyć chociaż jeden, chociażby w najskromniejszych warunkach.

Pojmuję chęć i obowiązek najszybszej pomocy — ale taki „Bazar" już w pierwszym dniu żywota naraziłby się na galopujące suchoty, któreby szybko jego zgon spowodowały. Albowiem nie wielka liczba wyrobów, sprowadzałaby tylko wyjątkową klientelę chętnych nabywców. Potrzeba się liczyć z tem, że w zaopatrzeniu naszych codziennych potrzeb nosimy charakterystykę lenistwa, i nie raczymy nawet liczyć się co jest na naszą korzyść lub szkodę.

Prawie każdy handel sprzedający rozmaite towary, ma jeden lub kilka artykułów specyalnych, które stanowią jego forsę handlową i służą za wabika, kupujący wchodzi do handlu przypuśćmy, że ze świadomością lub bez takowej po kupno jednej z tych tanich specyalności i przekonuje się, że kupił tanio. W takiem przekonaniu rozpatrzywszy się po handlu, budzi się w niem zamiar nabycia innych przedmiotów. Wprawdzie słyszał a nawet wie, że w innym handlu przedmiot ten nabyć można niemal z pierwszej ręki, z najlepszego źródła ale dla miłego nietrudzenia, zbity z toru wymową kupca kupuje „dla niefatygowania się", co mu zachwalają, kupuje w dobrej wierze po cenach wyższych, a przynajmniej lichotę.

Dam tu przykład: we Lwowie przy ul. Piekarskiej jest specyalna fabryka wózeczków dla dzieci — koszykowych, które to wyroby doprowadzone są do doskonałości możebnej, a w cenach konkurencya zagraniczna, gdyby tak sumiennie obsługiwała klientów, nie mogłaby z p. Kellerem naszym lwowskim fabrykantem dotrzymać kroku. P. Keller — ma główny skład swoich wózków w samym środku miasta tuż przy rynku. Kupcy zaś lwowscy, którzy od wyrobów krajowych uciekają, jak diabeł od święconej wody, samo przez się nie raczą zaopatrywać się w wózki z fabryki p. Kellera, ale sprowadzają z Wiednia największe partactwo.

Klient przychodzi do handlu po zupełnie inne potrzeby, ale widząc wózki pyta o cenę. Pan kupiec rozpoczyna głosić doskonałość wyrobu a przedewszystkiem taniość; a klient dla niefatygowania się pozwoli się jak to mówią: „brać na muchę" i kupuje tandetę wiedeńską, chociaż wie, że jest specyalny handel wózków, gdzie wybór na setki z każdego gatunku. Tak się dzieje i z innemi wyrobami.

Chcąc więc, aby Bazar prosperował, potrzeba go od razu zaopatrzyć tak, aby kupujący nabywał to co potrzebuje i to, o czem mu się przedtem ani śniło, lub aby oko jego

ujrzało to, co mu się dopiero kiedyś przydać może.

W ten sposób tworzy się reklama nie tylko wobec chwilowo kupującego — ale ten sam klient służy za chodzącą reklamę bo opowiada i zachwala innym co widział.

— „Ale jakżeż „Bazar“ taki uzupełnić, czy tam rozmnożyć, gdy jeszcze dotąd katalog wyrobów przemysłu domowego jest szczupły?“ — może ktoś zapytać.

Pytanie takie uważam za słuszne, a więc obowiązkiem jest odpowiedzieć na nie.

Tak samo jak mamy towarzystwa, których byt oparty jest na wzajemnej poręce, podnosi handel do potęgi wzajemne uzupełnienie się. Warunek ten dodatni, wynika z prawa natury, harmonii społecznej.

Chętny tańca, gdy ma do wyboru między skrzypkami lub trąbką — a całą orkiestrą — przyłączy się do koła, któremu ta ostatnia przygrywa.

Tak się samo ma rzecz i w naszem znaczeniu „Bazarem“. Obok kiełkującego przemysłu domowego mamy jego starszego brata przemysł rękodzielniczy, który jakkolwiek znacznie bez porównania silniejszy, podpada obecnie tym samym chorobom co przemysł domowy, w ściśłem słowa tego znaczeniu.

Zanim więc ta słaba jeszcze roślinka urośnie w siłę, niech ją weźmie w rękę starszy brat, niech ją osłania od wichrów, burz i spiekoty. Są to dzieci jednej matki, a obydwa potrzebują opieki i szybkiej pomocy, którą tylko obecnie w „Bazarach“ znaleść mogą.

Jedno drugiemu szkodzić niemoże. Przeciwnie, będą się nawzajem wspierać.

Twierdzenie moje opieram na doświadczeniu zebranem w innych krajach a mianowicie w Szwajcaryi, gdzie takie „Bazary“ nazwane tamże: „Gewerbehalle“ są najskuteczniejszą dźwignią przemysłu domowego i rękodzielnictwa. Przypatrzmy się bliżej.

Szwajcaryę spowodowały te same co nas przyczyny do założenia „Bazarów“ — na ochronę przemysłu domowego i rękodzielnictwa, przed obcym zalewem.

(C. d. n)

KORESPONDENCYE.

Gdy „**Maffia lwowska**“ nie ustaje — i jak się dowiadujemy z wiarogodnych źródeł, rozpowszechnia, jakobyśmy w sprawie Zakładu w Drohowyżu pisali byli fałsze — napadając na niewinnych i uczciwych ludzi, spowodowani jesteśmy ogłosić list obywatela, któremu zapewne nikt, tak braku patryotyzmu jakoteż wszelkiej osobistej zacności niezarzuci.

Obywatel ten znany jest w kraju z cywilnej odwagi mówienia bezwzględnej prawdy, jakkolwiek nie cieszy się popularnością w pewnych sferach.

Takich listów moglibyśmy całą seryę podać do publicznej wiadomości od najzacniejszych i powszechnie szanowanych obywateli, których takie „rewolwery“ jak „Sztandar polski“ i „Strażnica polska“ nie tylko nierażą, ale znajdują w nich szczerych i serdecznych opiekunów.

Długośmy się wahali, aby przytaczać nazwiska tych, którzy w nieuczciwy sposób, usiłują wydawnictwu szkodzić i stają w obronie nieuczciwych czynów. Ostrzegaliśmy! — gdy i to nie pomogło podajemy niniejszy list.

Aksmanice, 5. listopada 1880.

Szanowny Redaktorze!

Napaści, jakich doznajesz od przedstawicieli piśmiennictwa naszego lwowskiego zupełnie mnie nie dziwią, owszem co mnie dziwi tylko że one dopiero teraz się pojawiają. Piśmiennictwo nasze, a mówię o Dziennikarstwie, upadało coraz więcej tocząc się prawem naturalnem po równi pochyłej, w którą wstąpiło. Dawniej dzienniki lwowskie miały swoje przekonania, jednym one się podobały, jak mnie, innym nie, ale były to przekonania. Co do mnie widziałem w nich przedstawicieli patryotyzmu i wielbicieli wolności — byli niezależni i każdy występek przeciw narodowi — Polsce — każdy czyn nieecny, wstrętny ludzkości i społeczeńswa należycie karcili i piętnowali. Każdy artykuł mający na celu krytykę instytucyi wstrętnych społeczeństwu chętnie przyjmowali, popierając słusznie wystąpienia przeciw mocnym, czy to stosunkiem w społeczeństwie, czy też mocarzom pieniężnym — Od jakiegoś czasu dzienniki zobojętniały — stały się niejakiemi, niewidać w nich przekonań, nie śmią ruszyć rzeczy, które potrzebują światła dziennego, jeżeli to tylko mogłoby obrazić którykolwiek bank albo bankiera. O wielu brudach wolą udawać, że niewiedzą, jak przeciw nim występować.

Niejednokrotnie zastanawiałem się co tak wpłynąć mogło na taką bierność dzienników i przyszedłem do przekonania, że bieda i zależność.

Wszyscy Ci Panowie siedzą w kieszeniach jak to mówią różnych Banków i dla tego muszą być im powolnemi Słusznie bowiem Mojżesz twierdził: „nie pożyczaj od innych, bo będziesz musiał im służyć i być ich niewolnikiem“. Zresztą społeczeństwo każde ma takie dziennikarstwo na jakie zasługuje, nasze widać niepotrzebuje innego. Wśród tego upadku dziennikarstwa lwowskiego pajawiły się „Sztandar polski“ i „Strażnica polska“ i z pierwszych wystąpień spostrzedz można było, że są niezależne i nie hołdują żadnej wielkości, są pisane w duchu patryotycznym i mają na celu poprawę społeczeństwa i jego umoralnienie.—Pisały one bezwzględną prawdą, z początku nawet zanadto jaskrawo i zbyt dosadnemi wyrazami. — Pamiętasz Szanowny Redaktorze, że Ci mówiłem: zanadto piszesz bez rękawiczek staraj się w grzeczniejszy sposób i więcej salonowy dojeżdżać różnym nadużyciom i nieraz też mi mówiłeś: prawda, że teraz już piszę w rękawiczkach? — Ale nieraz Ci mówiłem, boję się o Ciebie. Wiem, że zacząłeś z małemi funduszami a trzeba walczyć przeciw najmocniejszym mającym na zawołanie protekcyę i pieniądze. Społeczeństwo nasze nie lubi prawdy, woli złudzenia a tych co będziesz miał uznanie, mała tylko u nas jest garstka, są to ludzie cisi i nie mający wiele pieniędzy. Kochać Cię będą, wielbić nawet za Twoją odwagę, ale Cię nie podeprą we właściwym czasie, nie obronią i prędzej czy później dzienniczki Twoje poczciwe upadną.

Podziwiałem zawsze Twoją odwagę cywilną i korzyłem się przed nią, bo zaprawdę trudna to walka iść zawsze przeciwko możnym tego świata a jeszcze tak jak Ty, walczyłeś z małemi funduszami i nie przebaczając ani bliższym, ani dalszym, kiedy coś złego spostrzegłeś. Nieraz i mnie łatkę przypiąłeś, jeżeli Ci się zdawało, że nie dość śmiało wystąpiłem.

Przez cały czas czytałem Twoje dzienniki z wielką uwagą i ani razu nie spostrzegłem ani obrazy ani oszczerstwa, ale tylko zawsze widziałem głoszoną prawdę i przekonany jestem, że nasze społeczeństwo Tobie zawdzięcza Szanowny Redaktorze nie jeden nie doszły brud. Tyś przyczynił się do zmian na dobre w Kulparkowie. W Radzie miasta. W niedojściu do skutku wyboru Koźmiana do Rady państwa. Tobie zawdzięcza Zakład Drohowyża, iż opamiętał się i większy tam nastąpił porządek. Tyś pomógł do opamiętania się Bankowi Włościańskiemu. Kilkuset urzędników miernictwa, Tobie oddali hołd i uznanie za obronę ich.

A ileż to mniejszych złych rzeczy nie stało się z obawy, że Ty w twoim dzienniku to wyświecisz i podasz pod opinię publiczną? Dla tego też zawsze byłem dla Ciebie z tym szacunkiem, z jakim dla nikogo nie byłem i okazywałem Ci otwarcie moje uznanie; i gdyby to było w mojej możności, to podtrzymał bym twoje dzienniki a nawet zamienił je na codzienne, ale fundusze moje są ograniczone i chcąc zachować moją niezależność, muszę się rachować z każdym centem. Wyznaję Ci szczerze, że ile razy przyjechałem do Lwowa obawiałem się dowiedzieć: „Strażnica i Sztandar polski“ przestały wychódzić.

Co do sprawy Drohowyzkiej, — to jest ona obrzydliwą i słusznie zupełnie utrzymywałeś, że kwalifikuje się do kryminału. Znam tę sprawę, bo udzielono mi jako posłowi do przejrzenia papiery, z których przekonałem się, że zanadto miękko postąpiono z przestępcą a to z tego powodu, że musiano by ukarać zarząd, za niedbalstwo i opieszałość w pełnieniu przyjętych na siebie obowiązków. To pewno, że przy jakim takim dozorze, rzeczy nie mogłyby zajść tak daleko, że kuratorya ostrzej powinna była postąpić, oddalić winnych. Ona zaś oddaliła tylko tych, którzy dopomogli do odkrycia złego. Głównego przestępcę wypuściła bezkarnie i jeszcze prosiła go, przez brata, aby się podał do dymisyi. Gdyby Sejm miał był czas i możność wśród żniw i upałów dłużej potrwać, byłbym tę sprawę poruszył i nieobawiał się głośno i dosadnie publicznie napiętnować winnych. Niewiem czy panna Sznaufert była w owym czasie nauczycielką — zawsze smutno jest, że jej ojciec ją solidaryzuje z tą sprawą, i że broni złego, które się obronić nieda. Nie rozumiem przymusowego oświadczenia p. Włodzimierza Zagórskiego i jego twierdzeń, „iż trząsłeś się oszalały trwogą niespodziewanie dowiedziawszy się o moim liście, który ci okazał“ — znałeś bowiem treść jego, bo Ci szanowny Redaktorze jednocześnie kopię jego wysłałem — przypuszczam, że się trząść mogłeś z oburzenia, bo i ja co nieznam bojaźni, mógłbym się trząść z oburzenia, iż podobne czyny jak Drohowyzkie znajdują obrońców.

Według dzisiejszych pojęć jest to dyplomatycznie napadać w chwili, kiedy schorowany leży w łóżku i kiedy skutkiem tego jego dzienniki milczą — zarzucać mu oszczerstwa i potwarze. Maffią napisałeś 25 Września i dobrześ napisał, mieli czas upomnieć się pókiś był zdrów ale nie wtenczas, kiedy przykuty do łóżka leżysz bez sił. Cóż łatwiejszego jak dziś pisać czy hektografować? — papier cierpliwy atrament tani i puszcza się też w świat bezeceństwa i potwarze, za które dawniej rumienić by się musiał autor. Rzuca się zarzut podłości temu, który dawał świadectwo prawdzie i z poświęceniem bronił na biedzie dobrej sprawy, nieoglądając się w złe finansowe stosunki swoje i familii. Co do mnie, czuję zawsze szacunek dla Ciebie Szanowny Redaktorze a pogardzam tymi, co pozbywszy się zasad uczciwości napadają bezbronnego, leżącego na łożu boleści. Nie zasługują oni na satysfakcyę, ale ja im bym jej udzielił mając na uwadze, że dobrzebym się zasłużył społeczeństwu usuwając kilku szkodliwych i bezczelnych ludzi. Kto to się hajdamactw dopuszcza, niech osądzą bezstronni. Ja zawsze się abonować i czytać będę pod jakąkolwiek formą pisać będziesz, bo wiem, że piszesz z przekonania a nie za pieniądze.

Przyjmij Szanowny Redaktorze zapewnienie prawdziwego poważania i szacunku, z jakiemi dla Ciebie zostaję sługa

A. Krukowiecki.

Ps. Upoważniam Cię do zrobienia z moim listem użytku, jaki uznasz za stosowny a nawet do ogłoszenia go publicznie.

Z Podhajeckiego 25. Listopada 1880.

Smutno ale nareszcie i do śmiechu pobudza usłużność niektórych korespondentów z prowincyi, którzy przez upor własnego widzimisię usiłują bałamucić publiczność swojemi ogłosze-

niami. I tak czytamy w „Dzienniku polskim“ z 18. listopada. Nr. 206 o wielkim trywmfie odniesionym przy wyborach do Rady powiatowej podhajeckiej, gdzie prezes i wiceprezes, jednogłośnie zostali wybrani a naprowadzając słowa korespondencyi podhajeckiej — ma taki wybór świadczyć, że nawet członkowie wsteczni uchylają czoła przed ludźmi zasług i poświęcenia. Zaprzeczam najprzód o przebiegu tak jednogłośnego wyboru, gdyż partyi postępowej ani się śniło wybierać dawniejsze prezydyum i tym celem wysłano deputacyę do ks. prałata Kierschki by tenże przyjął godnośc Marszałka, mając zapewnionych głosów 14. Ks. prałat nie przyjął jednak tej godności. Otóż wybór ten tryumfalny nie nastąpił wskutek korzenia się przed zasługą i poświęceniem, tylko przez uchylenie się w przyjęciu wyboru ks. krałata. Całe więc załatwienie dalszej akcyi wyborczej pozostało w rękach większych posiadłości, która drogą kompromisu dla świętego spokoju by nienarazić się sąsiadom, zatwierdziła dawniejsze status quo.

Lecz gdy szanownemu korespondentowi z Podhajec tak usilnie zależy na podniesieniu famy Rady podhajeckiej, to przytoczę okoliczności, które mogą wybitniej świadczyć o tej wzniosłej procedurze. — Pan wiceprezes od lat kilku będąc kontrolującym delegatem szpitala powszechnego, sam do tegoż dostarcza różne wiktuały, zaś pan zarządca szpitalu utrzymuje tamże jakiś mały handelek. Zapewne, że taka gospodarka wyrówna rubryki rachunkowe, bo wykazy szpitalne zaświadczą, że etat przeznaczony przekroczanym nie został, ale ci nieboszczyki, którzy w słomę owinięci dość licznie zostają grzebani, o tych misteryach mogliby coś więcej powiedzieć.

Wiadomości z Ziem Polskich

Uroczystość Listopadowa w Poznaniu.

W dniu wczorajszym odbyła się w mieście naszem uroczystość pięćdziesięcioletniej rocznicy powstania listopadowego a odbyła się ściśle wedle programu z góry nakreślonego i we wzorowym porządku. Z dumą to piszemy, bo społeczeństwo nasze, co dla nas nie było najmniejszą wątpliwością, złożyło przez to wymowny dowód, że jest zdolnem do rządzenia samem sobą, że ma zmysł organizacyjny, że zakreśliwszy sobie ramy tejże uroczystości, ani na krok z nich nie wystąpiło. Wykazało się przy tem, jak mało nas znają ci, co nami rządzą, bo rozwinęli niepotrzebnie nadzwyczajne środki ostrożności — zwiększając niepotrzebnie liczbę wojska na odwachu a straży policyjnej na ulicach — rozciągając wbrew prawu dozór policyjny na uczcie — niepotrzebnie, powtarzamy, bo każdy przejęty ważnością i powagą uroczystości, czuł głęboko odpowiedzialność, jaka na nim spoczywała i utrzymywał porządek, którego zakłócić nie mogły nawet owe środki policyjne, a mogące tylko do najwyższego stopnia rozdraźnić. I gdyby społeczeństwo nasze nie było dojrzałe, z pewnością stałby się to musiało. Nie, panowie, my żadnego wybryku nie dopuścimy się, ale nic też nie odwiedzie nas od święcenia naszych pamiątek narodowych, od oddawania czci naszym zasłużonym mężom naturalnie w granicach i na gruncie prawnym. I teraz też mimo przeszkód ze strony policyjnej obchodziliśmy uroczystość listopadową i tu w Poznaniu i w tylu a tylu miejscach Księstwa i Prus Zachodnich!

Poświęciliśmy rzewną modlitwę za poległych i zmarłych uczestników powstania z roku 1830 a oddaliśmy cześć żyjącym. Wspaniała to była manifestacya ducha polskiego i jego miłości Ojczyzny, pamiątki narodowej i czci narodowej dla zasłużonych naszych mężów, manifestacya, w której udział wzięło całe społeczeństwo nasze, począwszy od najzamożniejszych rodzin aż do wieśniaka, siermięgą okrytego. Urządziło ją co do szczegółów kilkunastu ludzi a zaakceptowało powtarzamy, całe społeczeństwo i wraz z urządzającymi porządek i ład utrzymywało a cała uroczystość odbyła się tak poważnie, z tak wzorowym porządkiem, że w końcu też same dzienniki niemieckie, które niestworzone rzeczy o rewolucyjnej uroczystości i przygotowaniach pisały, uderzyły czołem przed tą manifestacyą i uznały, że odbyła się wzniośle a poważnie.

Przebieg uroczystości był w głównych momentach następujący:

Już od niedzieli z najodleglejszych punktów Księstwa i Prus Zachodnich poczęli się zjeżdżać weterani i ci, którzy ich uczcić pragnęli. — Wszystkie hotele przepełnione, ruch na ulicach ożywiony. W dniu wczorajszym na ulicach ruch ten jeszcze więcej spotęgowany; po wszystkich ulicach snują się gromadki przyjezdnych.

Od godziny dziewiątej już wszyscy spieszą do kościoła farnego, gdzie o godzinie 10 odbyło się nabożeństwo żałobne za spokój duszy poległych i zmarłych uczestników powstania listopadowego. Zaraz po godzinie 9 już obszerny kościół farny prawie pozapełniany. Przed presbyterium wystawiono katafalk rzęsisto oświetlony, okryty czarnem suknem, otoczony zielenią kwiatów i wieńcami, po nad któremi unosi się uwity przez Polki a zawieszony przez jedną z dziewic wieniec z nieśmiertelników poświęcony nieodżałowanej pamięci śp. Klaudyi z hr. Działyńskich Potockiej. — Na trumnie złożone zostały wśród kwiatów i zieleni dwie palmy — znaki symboliczne bohaterskiej śmierci na polu walki. Przed kościołem a raczej w kruchcie czuwa kilku z tych, którzy się zajęli urządzeniem tej uroczystości. Przyjmują oni każdego z weteranów i dalej następni wprowadzają ich przez szpaler środkiem kościoła utworzony na miejsca dla weteranów przeznaczone a w półkolu około katafalka urządzone, gdzie inni znów z urządzających uroczystość wskazywali każdemu miejsce. Około katafalka stanęły cadto cechy; rybacki, szewski, rzeźnicki i garncarski z chorągwiami i świecami — z pomiędzy cechowych zwraca na siebie uwagę sędziwy Palczewski w kontuszu i przy karabeli. Szpaler tworzy czeladź rzemieślnicza. Przez szpaler ten jak wyżej powiedzieliśmy, prowadzeni przez urządzających uroczystość przechodzą sami weterani nasi. I snują się wciąż postacie naszych dzielnych wojaków — a jaka rozmaitość pomiędzy nimi — i potomkowie najznakomitszych naszych rodów i potomkowie szlacheckich rodzin i mieszczanie i dzieci kmiecie; wszystkich twarze zacne, istne polskie, takie szlachetne a takie mimo wieku marsowate, jak w chwili, gdy z wrogiem na polu bitwy się potykali. A pomiędzy nimi przechodzi postać sędziwa niewieścia — w czarnem ubraniu — to p. Emilia Szczaniecka. Głowy mimowolnie się pochylają przed tą słabą fizycznie istotą a tak silną przywiązaniem i miłością ojczyzny, której dowody złożyła w ciągu całego swego żywota, począwszy od najmłodszych lat przez ciąg pół wieku.

I zasiadło te miejsca dwustu sześćdziesięciu przeszło weteranów.

Pomiędzy nimi nie brakło i duchownych a w tej liczbie był i znakomity nasz gramatyk ks. Malinowski.

O godzinie 10. rozpoczęło się nabożeństwo wigiliami, które śpiewało przeszło 40 księży tak miejscowych jak i z prowincyi przybyłych. Kościół był literalnie przepełniony i jeszcze znaczna liczba stała przed kościołem. Mszą św. odprawił ks. dziekan Lewandowski z Lubasza, także weteran z r. 1830 w asystencyi ks. Jankiego, wikaryusza katedralnego, i ks. Nizińskiego. Na chórze grono śpiewaków pod przewodnictwem p. B. Dembińskiego wykonało bardzo pięknie mszę rekwialną. Po mszy św. odśpiewano kondukt i zakończono uroczystość kościelną pieśnią do Bogarodzicy „Salve Regina“.

Poczem świątynię Pańską szpalerem, o którym wyżej mówiliśmy, opuścili weterani a następnie wszyscy wierni a opuścili w wzorowym porządku, tak że urzędnicy policyjni i konstablerzy, co tam stali, wcale byli niepotrzebni.

Następnie wszyscy niemal weterani udali się do Bazaru, gdzie na dziedzińcu p. Rivoli zdejmował zbiorową fotografię.

Zacne zaś nasze Polki w tym czasie udały się do mieszkania p. Emilii Szczanieckiej a mianowicie pp dr. Matecka, Bib Moraczewska, Baranowska, Leonardowa hr. Kwilecka, Władysławowa Niegolewska i Teresa Radońska. Pierwsza z tych wręczyła jej w imieniu Wielkopolanek wieniec laurowy, przewiązany białą i karmazynową wstęgą. Na końcach tejże był napis pięknie złotem odhaftowany: **„1830. Zajaśniała poświęceniem dla ojczyzny. 1880. Emilii Szczanieckiej w uczczeniu składają rodaczki“.** Pani dr. Matecka przemówiła kilka słów serdecznych, które we łzach wspólnych się rozpłynęły.

Nadto doręczyły jej wiersz.

Poczem od Wielkopolan stanęła tam deputacya, składająca się z weteranów pp. Adolfa hr. Bnińskiego i Ed hr. Ponińskiego, oraz obywateli pp. dr. Wł. Niegolewskiego, Jana Arndta i wręczyła jej adres pięknie w drukarni J. I. Kraszewskiego wykonany.

O godzinie drugiej poczęli się wszyscy weterani i uczestnicy uroczystości zbierać w Bazarze. Wielka sala została choć skromnie ale pięknie udekorowaną. Na około festony z zieleni i wstęg o barwach narodowych — pod chórkiem na białym kartonie czerwonemi liczbami i literami „1830 — 29 listopada 1880“ a niżej: „za waszą i naszą wolność“. Przed rozpoczęciem jeszcze uczty zgłosiło się dwóch urzędników policyjnych oświadczając, że mają rozkaz władzy policyjnej, aby byli obecnymi podczas takowej. Jeden z gospodarzy w imieniu wszystkich zaprotestowawszy przeciw temu oświadczył, że zastrzegając sobie odpowiednie przeciw temu środki, aby na przyszłość nic podobnego nie miało miejsca, uledz musiał rozporządzeniu, jakie otrzymali. W skutek tego inspektor policyjny Bittner i komisarz policyjny Crusius zająwszy miejsca na uboczu w sali, byli obecni podczas całej uczty.

Przy tej sposobności nadmienić musimy, że była zamówiona muzyka wojskowa, na godzinę przecież przed samą ucztą otrzymała zakaz policyi grania podczas uczty.

Zasiedli więc weterani tak w wielkiej sali bazarowej jak i w innych salach do uczty a obok nich uczestnicy uroczystości. Gospodarze robili honory i czuwali, by każdy był dobrze usłużony. — Na czele pierwszego stołu w wielkiej sali zasiadł Belwederczyk p. Nasierowski, na czele drugiego Edward hr. Poniński, na czele trzeciego Arsen hr. Kwilecki, na czele czwartego major Szemioth. Obok nich inni weterani.

Nim się uczta rozpoczęła, zabrał głos p. W. Taczanowski, podnosząc znaczenie powstania 30 roku.

I zakończył: Zatem biesiadnicy, cześć bohaterom, a nim będziecie wznosili toasty dla żyjących uczestników tej wiekopomnej walki, powstańcie z waszych miejsc, na cześć tych, którzy do dziś dnia stanęli już przed sądem Najwyższego, cześć cieniom, cześć!

Następnie w czasie uczty pierwszy wzniósł toast na cześć weteranów p. dr. Henryk Szuman.

Poczem odpowiedział Belwederczyk p. Walenty Nasierowski.

Następnie zabrał głos p. Wł. Wierzbicki wznosząc toast na cześć duchowieństwa.

W końcu nadmieniamy, że w uczcie brało udział przeszło 500 osób.

Kronika.

Czyniąc zadosyć życzeniom, upraszam wszystkich szanownych weteranów z r. 1830-31 do nadsyłania mi swych życiorysów skreślonych o ile być może ze szczegółami nietylko z czasów bojów 30—31, ale i późniejszego udziału w sprawie narodowej Życiorysy te, oprócz we-

teranów żyjących, opiewać mogą żywota poległych i umarłych.

Dotychczasowe wydawnictwa jakkolwiek nader cenne i w dobrej woli opracowane są tylko materyałem do zbiorowego, pomnikowego dzieła, które w długie pokolenia ma rozgrzewać serca naszych potomków. Dzieje męczeństwa i tułactwa naszego dostarczają materyałów, jakimi się żaden naród poszczycić nie może.

Pożądane by były wybitniejszych osobistości portrety i rysunki pomników, jakie im gdziekolwiek cześć i wdzięczność wystawiła. Dzieło to zbiorowe, wychodzić będzie poszytami. O bliższych warunkach nie omieszkam donieść.

Wszelkie listy, wskazówki, lub już opracowane życiorysy, upraszam nadsyłać pod adresem:

Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz Redaktor „Sztandaru Polskiego" i „Strażnicy Polsk." we Lwowie, ulica Zielona l. 46.

W nocy z Czwartku na Piątek podczas silnego wichru wybuchł pożar w Krzywczycach tuż pod Lwowem. Spaliły się zabudowania dworskie, 26 gospodarstw włościańskich i cerkiew. Tabor straży pożarnej miejskiej z naczelnikiem swym p. P r a u n e m, wyjechał do rogatki Łyczakowskiej, z kąd tylko niespełna ćwierć mili do Krzywczyc. Pan Praun widząc, że się c h ł o p y p a l ą, zawrócił do miasta, zapewne z obawy przeziębienia. Jedynie 15 zuchów ze Straży ochotniczej dotarli na miejsce z „dżaganami" — i z prawdziwą brawurą, z niebezpieczeństwem utraty życia, przyczynili się do ochronienia włościan od większej klęski. Kilku tych zuchów wyratowało dziecko z kołyską, przyczem o mało nie zginęli sami w płomieniach. — „T o p o n a s z e m u".

„Niech żyje straż ochotnicza!"

Zapytujemy świetnej Rady miasta, jak długo jeszcze zajmować będzie pan P r a u n salony w ratuszu na pierwszem piątrze, z tak wielką szkodą dla Muzeum przemysłowego — i czy w ogóle nie wartoby było pomówić w Radzie o panu P r a u n i e?

Korespondencya Redakcyi.

Dziękujemy Szanownym korespondentom za nadesłane materjały w sprawie „Fundacyi Skarbkowskiej", i upraszamy oraz o zbieranie wszelkich dalszych faktów, ale opartych na fundamentach prawdy, świadectw, a jeżeli być może, i dokumentów. Dołożymy wszelkich starań, aby tę smutną gospodarkę wyświecić.

Nie będziemy zakrywać nikogo. — Mniejsza o to, czy nas nazywać będą „r e w o l w e r e m". Niech nas nazywają nawet „armatą rewolwerową", a nie znijdziemy z raz obranego stanowiska. Pokaże się dopiero w drugiej części, kto zasługuje na nazwisko „r e w o l w e r u". Czy my — czy „Maffia" lwowska galicyjska.

„Sztandar polski" poda bliższe szczegóły o **k r a d z i e ż y** w kasie Fundacyi i usiłowaniach pokrycia tej sprawki.

☞ Odtąd i nadal, aż do odwołania, wszystkie miejscowe i zamiejscowe listy i przekazy pieniężne dla naszej Redakcyi lub Administracyi, prosimy przesyłać pod adresem: **Do Redakcyi (lub Administracyi) „Sztandaru polskiego" (lub „Strażnicy polskiej"), na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego, w drukarni p. Anny Wajdowiczowej, Rynek, l. 9, we Lwowie.**

Lwów, dnia 12. Listopada 1880.

Z poważaniem **J. N. z Oleksowa Gniewosz,** odpowiedzialny Redaktor.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowicz (pt. Poremby), Rynek l. 9.

Pod zarządem [illegible]